

Chwała samochwałom

11 grudnia 2019

Kiedyś, dawno temu, w ubiegłym stuleciu, sąsiadki opowiadały sobie z przejęciem straszne historie z życia lub z prasy o tym, jak czyjaś droga córka lub miły narzeczony pewnego razu „uciekli z sektą” i już nigdy nie było tak jak przedtem. To doświadczenie gruntownie ich zmieniało. Nawet, jeśli kiedyś potem wrócili do domu, nie byli już nigdy sobą, stawali się kimś innym, obcym. „Pani kochana”, mówiła z przerażeniem sąsiadka sąsiadce, „oni tam piorą mózgi i to koniec już jest”. Dziś nie słyszy się takich historii, ale przecież każda i każdy z nas ma ich wiele do opowiedzenia, z tym że nie o tajemniczych sektach piorących mózgi, jak w gotyckiej powieści, lecz o czymś znacznie bardziej nowoczesnym, ba, prestiżowym i naukowym. Kto z nas nie zna osoby, która wzięła udział w szkoleniach leaderszipu lub kołczingu liderów i wróciła zmieniona, inna, reagująca irytacją na zainteresowania, wartości, idee, które kiedyś nas z nimi łączyły?

Odmienieni, mówią już innym głosem, z nową emfazą, przestają słuchać tego, co do nich mówimy. Czujemy z ich strony irytację i odrzucenie, zastanawiamy się, co robimy źle, czemu oto straciliśmy przyjaciela. Za to zyskaliśmy osobistość. Możemy się pochwalić, że znamy kogoś Ważnego. Coś się stało z wnętrzem takiej osoby, jakby go ubyło. Za to przybyło ogromnie dużo czegoś na zewnątrz – jakaś taka aura ważności, wobec której to, co dla nas ma znaczenie, nagle staje się nieistotne. Osoby te mówią same o sobie inaczej niż wcześniej, z przekonaniem i pewnością, której im dotąd brakowało.

W odróżnieniu od historii o sektach, to nie jest jednak kwestia magii i nagłego oczarowania, lecz przemiana całkiem racjonalna, dostępna, nauka, którą samemu można (za odpowiednią opłatą) osiąść. To język, który umożliwia i definiuje mówienie o sobie w kategoriach sukcesu, kariery,

wagi i powagi. I który definiuje wszelkie inne relacje w tych kategoriach. Sfrustrowany współpracownik nagle zmienia się w osobę, z którą należy porozmawiać o aspiracjach do kariery. Nieskłonna do szerowania statusów, skądinąd oddana sprawie znajoma, zmienia się w niepotrzebną masę. Od czasów Ludwiga Wittgensteina wiemy, że język wyznacza i definiuje nasz świat. I my może nauczyć się tego języka, jeśli tylko włożymy w to odpowiedni wysiłek. Nie wiem, jak Państwo, ale ja bardzo, bardzo nie chcę, choć strasznie lubię się uczyć. Nie jestem w tym osamotniona.

W lipcu kolega organizował konferencję. Zaprosił kilka osób w charakterze mówców, „keynote speakers”. Przysłał nam krótkie notki biograficzne o nas do korekty. Pamiętam to uczucie ciepła w dołku, które rozeszło mi się po całym systemie, gdy dostałam od niego tę notkę. Siedziałam chwilę z takim wielkim poczuciem wdzięczności w trzewiach, zanim odpowiedziałam, że jest świetna. Jasne – mogłam coś dodać, coś skorygować. Ale nie chciałam psuć tej chwili, tak rzadkiej w obecnych czasach, gdy to ktoś inny zadał sobie trud i napisał coś o mnie. Że nie muszę się chwalić. Jak strasznie miło, gdy ktoś powiedział coś o mnie, zauważył, że jestem. Potem okazało się, że wiele zaproszonych przez niego osób czuło w tym momencie dokładnie to samo. Staliśmy razem podczas przerwy, przed budynkiem, i dzieliliśmy się tym dziwnym i dość złożonym uczuciem – a także naszą radością, że nie byliśmy z nim sami, że inni też tak mieli. Wdzięczność. W świecie, gdzie istnieją tylko ci, którzy uprawiają samopromocję, wielkim zaszczytem jest móc ją odczuć.

A przecież kiedyś można było być nieśmiałym, zdaje się, że nawet było to normalne. Można było stosować autoironię, samopomniejszenie – to było wtedy szlachetne, nawet jeśli często niezbyt szczere. Autolans był... opcjonalny. Pamiętam, jak później, gdy obyczaj wynoszenia siebie ponad poziomy zaczynał stawać się obowiązkiem, towarzyszył temu bunt wielu osób i głośno wyrażany sprzeciw. Dziś wszyscy już ten obowiązek opanowaliśmy. Sama trzaskam bionotki i

autoprezentacje bez mrugnięcia okiem. Pamiętam też, ponieważ ze wstydem, jaki wywołuje każda nieudana próba oczarowania, jak kilkanaście lat temu ważna zagraniczna komisja, przed którą prezentowałam projekt badawczy, pytała mnie, jaki jest mój „impact”, a ja, z zawadiackim uśmiechem, zaserwowałam pełną fałszywą skromność („o, nie wiem, nie wiem wcale, o to trzeba by spytać moich czytelników” – proszę zauważyć jaka się w tej skromności kryje obłudna, ukryta arogancja, założenie, że kogoś innego niż ja obchodzi, czym się zajmuję). Mój projekt, całkiem dobry, rzetelny, został oblany. Wygrał kolega, który przezwyciężył swój wstręt do samochwalstwa i potrafił bez obrzydzenia i drgnięcia kącików ust powiedzieć: moje badania mają znaczący wpływ na naukę i na praktykę... Z perspektywy czasu i bez żadnych innych uczuć niż wstyd z powodu mojej uwodzicielskiej szarży skromności, mogę śmiało powiedzieć, że nasze projekty były równie ciekawe. Jestem przekonana, że on też tak uważa. Natomiast on umiał o tym powiedzieć komisji. Teraz ja też to umiem. Czy było lepiej, zanim się przemogliśmy? Nie. Oboje mamy teraz większy dystans do siebie i tego, na co nas stać. Żadne z nas nie wierzy we własną wielkość. Móc mówić o tym bez żadnych oczekiwań – to chyba prawdziwsze samo-umiarkowanie, niż epatowanie skromnością pełną zalotnej nadziei.

Więc jak to jest? Czy lepiej jest udawać skromność, czy trąbić o własnej wielkości? Zarozumialstwo i zakłamanie to (niestety) cechy bardzo ludzkie, choć nieśmiałość i skromność – też. Podobnie jak pragnienie, by kogoś w drebiezgi oczarować i otumanić swoim nieodpartym wdziękiem. Wszystko ma swój czas i z wszystkiego można się czegoś nauczyć (wiem, wiem, jestem starą belferką, inaczej nie lubię). Jednak problem jest wielki. Polega na tym, że trąbiąc stale i obowiązkowo o świetnym sobie, coś jednocześnie zagłuszamy.

Weźmy na przykład Gretę Thunberg. Toczy się o nią spór w mediach i na portalach, dyskutują znajomi nad latte i rodziny nad schabowym. Jedni mówią, że wszystko źle, że za chuda, za

młoda, za piskliwy głos, za bardzo rodzice mają wpływ na jej poglądy, za bardzo bezczelna. Drudzy z kolei podnoszą walory jej młodości, bezkompromisowości, odwagi cywilnej, skromności, świadomości społecznej. Jedni krzyczą „precz”, inni wołają „hosanna!”. Szesnastoletnia dziewczyna może lub nie może, powinna lub nie powinna, zabierać głos w ważnych sprawach, bo jest za młoda, oni za starzy, zbyt biała, ale jednak kobieta, niepełnosprawna, to świetnie, głos dla niepełnosprawnych musi być. Ładny warkoczyk. Nielegancki ubiór, niestosowny do sytuacji. Itp., itd. Nie słysząc w tym rozgardiaszu tego, co ona właściwie mówi. To, co naprawdę ważne znika w hurgocie dyskusji, czy ona może, czy nie może być czyimś „role modelem”, przepraszam „role modelką”.

Zajęliśmy się dyskutowaniem powierzchowności i na tym poprzestajemy. Fasady są jazgotliwe i zastąpiły nam sens i świat. Wszyscy wiemy, jaka jest Greta Thunberg, ale w hałasie nie słysząc, o czym do nas mówi. Nie ona jedna. Czasy są poważne, już nie tylko Naomi Klein i David Attenborough, lecz cała wataha ultracentrystycznych dziennikarzy ostrzega, że klimat, że planeta, że człowiek i jego praca, że ekonomia neoliberalna... A tymczasem dryfujemy sobie spokojnie w przepaść, rozprawiając nad tym, kto jest bardziej doskonały. Więc tak, to jest szkodliwe. Oprócz tego, że osoby mało odporne na autolans muszą się wciąż powstrzymywać od mdłości – bo w końcu de gustibus itd. Poza tym moda jest potężnym i uniwersalnym aviomarinem i mdłości opanowują coraz mniejszą ilość osób. Ale jest bardziej poważny powód i jest nim fasadyzacja wszystkich treści w przestrzeni publicznej. Wszystko nagle stało się ad personam, zasługi i przewiny są jednostkowe, sprywatyzowaliśmy obecność i jednocześnie zbanalizowaliśmy ją. Każdy gada, wrzeszczy nawet; nikt nie słucha, bo pękają bębny, a poza tym, no proszę, czemu słuchać akurat Grety, a nie kogoś innego, np. biskupa Głódzia? Albo pana prezesa czy innego schludnego megaprzedsiębiorcy. Bo ważne kto, nieważne po co. Zresztą, co to znaczy – po co? Czy kogoś to jeszcze obchodzi? Ważne, kto za sobą pociągnie tłumy,

wtedy wiadomo, że dobrze, pociągnąć w jakikolwiek sposób, za jakąkolwiek cenę, dolarową lub ludzką, a najlepiej jedno i drugie. Jak mawiano w latach 90., jeśli coś nie kosztuje, to ludzie tego nie cenią. Może dlatego liderszipy są w cenie – bo zazwyczaj bardzo dużo kosztują.

Jeśli liderszipy to nauka, to jest to nauka, jak gadać głupoty. Polerowanie fasady mową-trawą. Nie ja tak mówię, choć podpisuję się pod tym ręką prawą i lewą, a i stopami bym się podpisała, gdyby umiała. Piszą o tym doświadczeni i znacznie bardziej umiarkowani ode mnie badacze, jak choćby Jeffrey Pfeffer, jedna z wielkich sław głównego nurtu zarządzania, i Henry Mintzberg, bodajże największy żyjący autorytet z tychże nauk i żaden anarchosocjalista. Socjaliści zresztą w tej kwestii są z centrystami wyjątkowo zgodni – Martin Parker dowodzi, jak szkodliwe jest edukowanie „liderów transformacyjnych świata” w szkołach biznesu, a Carl Rhodes i Peter Bloom demonstrują patologie wywołane koncentracją naszej epoki na bogatych i sławnych dyrektorach-„przywódcach”. Wreszcie, badaczki takie jak Marja Soila-Wadman, Malin Gawell, Nancy Harding czy Ann-Sofie Köping, które pokazują jak ważna jest relacyjność, że całe przywództwo, to w istocie relacje, nie osoby. Można więc robić to inaczej, wspólnie, demokratycznie, kadencyjnie, bo od relacji wszystko zależy, nie od doskonałości takiego czy innego lidera.

Równie ważni są nie-liderzy. Ten wymiar przywództwa jako dobra wspólnego, czegoś międzyludzkiego, niszczone jest przez kursy liderszipy. Szefowie powinni raczej uczyć się, jak nie monopolizować roli przywódczej i jak nie być władczy i dęci. Badaczka organizacji Anna Zueva pisze w artykule opublikowanym w prestiżowym piśmie, że przywódca najlepiej robi, gdy jest głupcem, błaznem, nie wielkim cesarzem świata. Pokora jest ważniejsza niż pyszny blask. Jak pisał Salomon, człek poniekąd mądry, pycha idzie przed upadkiem. Możemy sobie być dumni, zadowoleni z siebie, elokwentni na temat swoich osiągnięć, nawet możemy być uwodzicielsko pewni siebie. Ale to co innego,

to wszystko grzeszki powszednie. Pycha to całkiem inna bajka, a to właśnie pychy uczą nas leaderszipy – jak być doskonałym. W judaizmie jest to źródłem wszelkiego zła, bo oznacza samo-ubóstwienie. W chrześcijaństwie to grzech główny, bo powoduje utratę łaski. Leaderszip przejawia się zatem jako głośne gładzenie mające na celu zagłuszenie dudnienia wewnętrznej pustki – bo bez łaski – gratia – wszystko jest pozbawione wdzięku i wdzięczności.

Każdy prawdziwy lider sam sobie wszystko zawdzięcza, sam sobie skrobie rzepkę i robi ster z okrętu; sam sobie jest doskonałością. Sam sobie śpiewa hymn chwały. Brawo! Bo jest tego wart. O niebioso, jakież to nudne. Chodźmy już może zająć się czymś ciekawszym niż kolejny sam-sobie-bóg, który musi zrobić karierę bo jest doskonały. Ile można słuchać tych bredni, każdej samochwale chwała! – na miarę kąta, w którym stoi.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Źródło: NowyObywatel.pl